



Witold Grzybowski

część III z V

Sygnatura notacji: **N0147**

Data urodzenia: **04.04.1928 r.**

Data nagrania: **29.09.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 51 min, część III: 58 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 44 min, część V: 36 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Witold Grzybowski: W to nikt nie wierzy do tej pory. Ludzie nie chcą w to uwierzyć, ale stało się. Następnego dnia przyjechali jeszcze oficerowie niemieccy do Dziekanowa Polskiego sprawdzić, czy my rzeczywiście w Dziekanowie jesteśmy. Byliśmy. Dziekanów przyjął nas nadzwyczajnie. Polskie mundury, orzełki, mówią po polsku, zaciągają tak z wileńska, ale to Polacy. Ale oficerowie „Obroży”, a coś pewnie Niemcy podstawili tutaj, specjalnie przysłali. Spodziewałem się, że będzie powstanie, to żeby tego, przysłali swoich. Przysłali, więc pierwsza propozycja – rozbroić oddział. Komendant VIII Rejonu, kapitan „Szymon” Józef Krzyczkowski: „Ale jak ja mam uzbrojonych 190 ludzi, a tu jest prawie 1000? Zupełnie inaczej uzbrojeni. Jak ja ich rozbroję?” „No tak. To odkupcie broń od nich”. Pytanie: „A jaki partyzant sprzeda broń?” No nie. Odwleka się sprawa o dzień czy dwa, nie wiem już, w każdym razie trafiła do Komendy Głównej. I z Komendy Głównej Armii Krajowej przychodzi rozkaz: „Skierować oddział do Borów Tucholskich”. „Góra” potem mówił: „Jak ja mogłem iść do Borów Tucholskich?”. Przeszliśmy ponad 500 km bezdrożami. My się spotykaliśmy, tu nam pomagała, bo dawali nam jeść, pozwolili przenocować. Powiada: „Tu, jesteśmy już...”, bo Dziekanów Polski był na terenie Rzeszy, już za granicą, poza Generalnym Gubernatorstwem Rzeszy. Powiada: „Ja do Borów Tucholskich muszę iść po terenie Rzeszy. Ja nie dojdę z oddziałem. Oddział zostanie zniszczony”. Powiada: „Jeżeli ktoś ma pretensje do mnie, że było zawieszenie broni z Niemcami, to niech ukażą mnie. Ale z jakiej racji karać oddział, niszczyć oddział?”. I mówi do kapitana Krzyczkowskiego: „Panie kapitanie, czy przyjmie pan mnie do siebie?”. Ten podjął decyzję, że tak. Kiedy powiedział o tym w Komendzie Głównej, powiedzieli: „No dobrze, ale na pana indywidualną odpowiedzialność”. Krzyczkowskiego. Że przyjął tutaj te wojska i na jego indywidualną odpowiedzialność. Ale przyjął nas. Wiedział, że dostaliśmy dokument na pobranie tych materiałów z magazynów Twierdzy Modlin. I polecił pobrać to. Na razie przyczajamy się. Wszystko jest dobrze. Zobaczymy, jak się

Niemcy zachowają. Ale na wszelki wypadek może być zdarzenie takie, że Niemcy zażądają, żebyśmy wrócili za Wisłę walczyć z Sowietami. Więc na wszelki wypadek my was z Dziekanowa Polskiego skierujemy do Puszczy Kampinoskiej. I 29 lipca padł taki rozkaz i myśmy przez 29–30 przewędrowali z Dziekanowa do Puszczy Kampinoskiej. W Puszczy Kampinoskiej dowództwo rozmieszczone zostało w Wierszach, a pozostałe oddziały, piechota, kawaleria, w różnych wsiach, przy różnych gospodarstwach. Ja ze swoim plutonem trafiłem najpierw w okolice Roztoki. A po kilku czy po kilkunastu dniach skierowano do gospodarstwa [niezrozumiałe]. I od tej pory byliśmy już w Kampinosie. Dobrze, wszystko dobrze. 31 [lipca] koledzy z 3. szwadronu zobaczyli, że w Aleksandrowie kręcą się jacyś Niemcy. Więc doszli do wniosku, że trzeba ich zaatakować i ze wsi wykurzyć. I rzeczywiście zaatakowali, zabito około 50 Niemców. Kilku było rannych. Kilku wzięli do niewoli. Ci, którzy byli wzięci do niewoli, dostali szybko przepustki na Berlin, przez Bydgoszcz, Poznań, do, nacht hause [niem. do domu], tak. To było 31 lipca, a więc dzień przed wybuchem powstania tu się zaczęła walka, tak. I od tej pory siedzieliśmy już nieprzerwanie aż do 27 września byliśmy w Puszczy Kampinoskiej, pomagając Warszawie, jak się dało. Przede wszystkim po oczyszczeniu puszczy z oddziałów niemieckich i otoczenia puszczy odbieraliśmy zrzuty. Tam dwadzieścia kilka zrzutów żeśmy przyjęli. Te zrzuty zostały przeznaczone dla dozbrojenia nas i lokalnych oddziałów konspiracyjnych, i część broni trafiła do Warszawy, szczególnie Piaty [rusznice przeciwpancerne]. 14 sierpnia generał Bór wydał rozkaz, żeby oddziały będące na zewnątrz, poza Warszawą przyszły z pomocą. Nie zorganizowano jeszcze tego od razu. Mieliśmy trafić gdzieś tam na cmentarze na Woli. Ale jeszcze nie poszli żołnierze. Z tego, co wiem, Kielecczyzna i tamte rejony zorganizowały ponad 6000 żołnierzy, zebrali, już szli w kierunku Warszawy, ale nie dochodząc Radomia, wrócili, bo tu dalej nie było lasów i wiadomo, że przez otwarte tereny takich oddziałów Niemcy nie przepuszczą. Wrócili z powrotem. Myśmy byli blisko. Zdecydowano w Komendzie Głównej, że z tak dużym oddziałem, który razem... nasz oddział połączony z oddziałem lokalnej konspiracji VIII rejonu dawał około 1400 żołnierzy, taki oddział, stworzono pułk „Młociny”. Tak on się nazywał. Pułk „Palmiry-Młociny”. Później dochodziły z różnych stron oddziały mniejsze i większe, ale już nie weszły do tego pułku „Palmiry-Młociny”, tylko całość zaczęła się nazywać Grupa „Kampinos”. Tych oddziałów przyszło kilkanaście, nie pamiętam dokładnie. Mam zapisane w notatkach, ale blisko 20. O pojemności od kilku do paru set ludzi. Największy przyszedł z sochaczewskiego. 18 czy 19 sierpnia pada rozkaz, żeby skierować żołnierzy i przez Dworzec Gdański nawiązać łączność ze Starówką. Podjęto decyzję, że pójdzie piechota. Nie było sensu posyłania kawalerii do miasta, bo co z końmi zrobić? To jest jedno. A po drugie ktoś musiał tych terenów tutaj puszczańskich bronić. Wysłano najpierw jeden oddział, około 700 ludzi, drugi około 400, razem ponad 1000 ludzi wysłano. Z tym wysyłaniem ludzi było bardzo różnie, bo okazało się, że istnieją oficerowie starsi stopniem, którzy mieli pretensję, że to oni powinni tu dowodzić Grupą „Kampinos”. Nie będę mówić o nazwiskach, o tym, bo to, niestety, nie było dobre, niedobrze się skończyło. Oddziały do Warszawy szły, potem błędziły, wracały, w końcu zebrało się tam około tysiąca żołnierzy, mieli zaatakować i zaatakowali Dworzec Gdański 21 lipca. Świetnie to opisane jest w książce, ja to czytałem z maszynopisu, w książce „Burza nad Dworcem Gdańskim. W bój – bez broni”. To jest bardzo ładnie opisane tam, jak to się działo, niestety. Ja osobiście mam żal do dowództwa, które doprowadziło do ataku. Poprowadziło żołnierzy po pierwsze bez przewodników, po drugie bez rozpoznania terenu, jakiegokolwiek przygotowania kazali im iść i ginęli. I zginęli, pierwszego dnia część zginęła, i potem powtórzono to następnego dnia. Dworzec Gdański nie został przełamany. Wprawdzie iluś tam żołnierzy, którzy przyszli z nowogrodzkiego, potem znalazło się na Starówce i znalazło się potem na południu Warszawy, nad Wisłą, tam na Powiślu znaleźli się. Porucznik, który miał pseudonim „Dan”, nie znano jego nazwiska, podejrzewano wciąż, jakoś tam przewijało się nazwisko

Baumgart. Okazało się, że rzeczywiście to był porucznik Baumgart. On tam potem walczył właśnie między innymi w Śródmieściu i na Powiślu. Zmarł po wojnie. Bodajże w Sztumie. A co z nami? W zasadzie gdyby nie inicjatywy porucznika „Góry”, który zmienił pseudonim na „Dolina”, kiedy został powołany przez Krzyczkowskiego na dowódcę oddziału w puszczańskich, on wykazywał jakąś inicjatywę i podejmował coś. Podjął decyzję o zniszczeniu tartaków w Piaskach, tam jeszcze kilku innych atakach z naszej strony, które kończyły się z reguły dla nas dobrze. W sierpniu, kiedy piechota była na terenie Warszawy, tam gdzieś, od strony Roztoki i Kiścienego Niemcy przystali grupę liczącą około 140 żołnierzy, żeby zlikwidować puszczańskie oddziały. Tak się stało, że tych 140 Niemców zginęło, zginęli wszyscy. Z naszej strony zginął jeden. Jeden był ranny. Dziwna rzecz, ale tak było. Jak niezdarne były te oddziały niemieckie, nie wiem, ale były i zginęły. Zabitych Niemców znajdowała potem ludność po krzakach, po zagajnikach. W każdym razie doliczono się 140. Na początku września, właściwie w końcu lipca, zaczęły się bitwy między wsiami Truskaw i Pocięcha. Niemcy koniecznie chcieli uzyskać przejście drogą Puszcząską w kierunku na Nowy Dwór. A myśmy tu siedzieli w puszczy i nie dawaliśmy im przejść. Walki trwały kilka dni. Zginęło kilkunastu żołnierzy. Zginęło kilkunastu Niemców. A właściwie to nie Niemcy tu walczyli, tylko wojska nazywane RONA. Russkaja Narodnaja... Narodnaja jakaś tam armia. W dniu 3 września porucznik „Dolina” zebrał 80 ochotników, wszyscy z bronią maszynową, wyposażeni w granaty. Podeszli cichutko w nocy od drugiej strony pod Truskaw, w której stał batalion wojsk RONA. Wojsk, które bardzo niechlubnie zapisały się na Woli. I chyba na Ochocie też. Kiedy doszli cichutko, tych 80 ludzi doszło do Truskawia, okazało się, że ilość wojska RONA nie jest 250, tylko doszedł jeszcze jeden batalion, że ich jest około 500. Ale nie cofnęli się, zaatakowali, rozbili ten Truskaw, zabili... Ilość zabitych waha się między 100 a 250. Byli jeszcze poza tym na pewno ranni. Rozbili baterię artylerii, która tam stała, zniszczyli parę wozów z amunicją, bo nie można ich było zabrać. Ale jedno działo 75 mm zabrali i po rozbiciu tego oddziału wycofali się. Zginęło wtedy 10 partyzantów, 10 było rannych. Ale tych żołnierzy RONA zginęło znacznie więcej. W nocy z 3 na 4 września zorganizowano wypad na wieś Marianów, w której też stał jakiś oddział ronowców. Tam zastępca dowódcy kawalerii porucznik Dąbrowa przeprowadził rozpoznanie, dokładne, osobiście, wyznaczył wszystko, co i jak. Mój szwadron pojechał dokończyć to dzieło, ja byłem koniowodnym, zostałem w lesie, w samej walce nie wziąłem udziału, ale wiem, że tam około 100 ronowców zginęło. Z naszej strony dostałem informację, najpierw, że zginął jeden, potem, że zginęło trzech. Nie wiem, czy zginął jeden, czy trzech, nie wiem. Tam było paru rannych. Po tym zdarzeniu wojska RONA zostały z tej okolicy wycofane. Potem się smutno skończyło ich życie, bo generał Kamiński, który tym dowodził, został prawdopodobnie przez Niemców zabity. A myśmy dalej trwali. Zdobywaliśmy pożywienie, tak żeby nie obciążać ludności. Ludność była zadowolona z tego, że jesteśmy, nazwali to otoczenie tutaj Niepodległą Rzeczpospolitą Kampinoską, bo tutaj Niemcy nie mieli prawa wstępu. Kiedy powstanie upadało w końcu września, 27 września, wcześniej, bo 25 teren ten został sfotografowany przez samolot niemiecki, nie pamiętam, jak on tam się nazywał, 193 tam coś. Myśmy go nazywali „Rama”, bo on miał dwa kadłuby. Ta „Rama” latała i fotografowała. 27 [września] zostały zbombardowane Wiersze i bodajże Brzozówka. Wielkich strat poza stratą amunicji nie było, bo dowódca batalionu w owym czasie, porucznik czy major Lenczewski, wyprowadził ich do lasu. Więc żołnierzy dużo nie zginęło. 27 [września] rano Niemcy, którzy zorganizowali specjalną grupę pod pseudonimem „Spadająca gwiazda”, „Sternschnuppe”, atakowali na wszystkich możliwych dojściach do Kampinosu. Niestety nie przełamali naszej obrony, ale myśmy dostali wieczorem rozkaz wycofać się na zachód. I pomaszerowaliśmy na zachód, doszliśmy aż do Bielin. Tam przeczekaliśmy cały dzień, 28 września. Wieczorem 28 pada rozkaz, że mamy się dalej wycofywać w kierunku południowym, żeby osiągnąć w końcu lasy kieleckie czy Góry Świętokrzyskie. Celem najbliż-

szym było dojście między Jaktorowem a Żyrardowem, żeby przejść za tory do Lasów Radziejowskich. Zaczęliśmy maszerować. Kawaleria była na początku, maszerowaliśmy, było dobrze. Spokojnie maszerowaliśmy. Pamiętam mój pluton, spokojnie szliśmy. Kiedy byliśmy już niedaleko torów, jeszcze nie widzieliśmy ich, ale kazano nam skręcić na łąki i tam czekać. Na co mieliśmy czekać? Mieliśmy czekać na koniec kolumny marszowej, która była bardzo długa, bo wycofywało się z puszczy około 2000 żołnierzy i około 200 wozów. A więc te 200 wozów to była olbrzymia kolumna, długa. Nieruchawa była. Myśmy szli spokojnie, doszliśmy tam do tej łąki, tak jak powiedziałem. Krótco przed skrętem na łąkę dogoniliśmy wóz, dwukonny wóz wojskowy, typowy wojskowy wóz niemiecki. Jechało nim 3 żołnierzy. Uzbrojeni byli w karabin maszynowy typu Bren, skrzynka amunicji do tego karabinu, i 2 karabiny chyba były. Niemcy byli zaskoczeni, oczywiście wehrmachtowcy. Żeśmy zdjęli im buty, bo nam brakowało butów, zdjęliśmy im mundury. Zabraliśmy konie, wóz i broń, a im kazaliśmy iść sobie do Grodziska, w stronę Grodziska poszli. Pewnie się cieszyli, że zostali żywi, ale u nas panowała opinia, że wehrmachtowców zabijać nie będziemy. Gdyby to byli SS-owcy, to wtedy prawdopodobnie by zginęli. Ale Wehrmacht puściliśmy. Skręciliśmy na tę łąkę, nie wiedząc wcale, że daleko za nami z tyłu trwa walka. Bo tam w nocy już, kiedy wozy taborowe przekraczały drogę Warszawa – Sochaczew i przekraczali potem rzeczkę Utrata, czołgi niemieckie, które jechały szosą Warszawa – Sochaczew, zaczęły strzelać. Niezupełnie celnie, ale zaczął się bój. Jakaś dezorganizacja. Coś tam się działo nie tak, jak trzeba. Nie wiem, bo nie widziałem tego. Wiem, że z dwoma szwadronami został tam porucznik „Góra”, który wcześniej zmienił pseudonim na „Dolina”. Myśmy o tym wszystkim nie wiedzieli. Co się działo tu na łące, jak skręciliśmy na łąkę? Początkowo było bardzo fajnie, świeciło słońeczko, niewielkie takie olszyny były, takie po kilkanaście drzew, takie grupki drzew, łąka. I w pewnym momencie nadlatuje od strony południowej samolot, ta „Rama”, która robiła kiedyś zdjęcia wcześniej, strzelała z karabinu maszynowego do nas. Ja jak patrzyłem, że samolot jest tutaj prawie nade mną i strzela z karabinu, to nie strzela do mnie, tylko dużo dalej, tam gdzieś. Nie uciekałem, ale nie wszyscy tak rozumowali. Zrobiło się zamieszanie. Po niedługim czasie ten sam samolot z tej samej strony od południa znowu leci, znowu strzela. I trzeci raz leci i strzela. I czwarty raz leci i strzela. Tylko że za czwartym razem, jak leciał i strzelał, to z ogona leciał czarny dym. Samolot się zapalił. Prawdopodobnie ktoś miał w karabinie maszynowym amunicję niemiecką, gdzie oni mieli przeplatane różne pociski, co kilka pocisków, co 5–6 pocisków były pociski zapalające, pociski świetlne, pociski przeciwpancerne, jakieś takie. Prawdopodobnie ktoś w ten samolot trafił. Kto? Nie wiemy. Kandydatów było kilku. Ale nie wiadomo, któremu się to udało. Mój pluton został spieszony. Ja nie zostałem koniowodnym, ponieważ miałem tę skrzynkę amunicji do Brena, więc powinienem być blisko kolegi, który nosi karabin ten. Rozłożyliśmy się. Tam istnieją takie dwa długie i dość duże rowy melioracyjne. W tym rowie leżymy sobie spokojnie. Słyszymy, pociski przelatują. Trwa walka, a my spokojnie sobie w rowie siedzimy. I ja w pewnym momencie musiałem usnąć, bo kiedy się obudziłem, to zobaczyłem, że ja w rowie jestem sam. Nie ma żadnego kolegi, nie ma nic. Zastanawiam się, co ja mam zrobić. W rowie zostać? Nie trzeba, bo po co? Wyszedłem na brzeg rowu i dylemat, czy iść na południe, czy iść na północ. Pomyślałem chwilę: „A pójdę na północ”. I poszedłem na północ. Po kilkudziesięciu metrach patrzę w prawo i widzę, że lecą tam pociski. Przede mną lecą pociski i w pewnym momencie widzę, że również za mną lecą pociski, świetlne widzę. Bo ktoś strzelał z karabinu maszynowego. Myślę: „Pewnie strzela do mnie”. Ja udałem, że mnie trafił, przewróciłem się, przestał strzelać, ja sobie leżę, odpocząłem trochę. Za szybko nie mogłem biec, bo skrzynka z amunicją jest ciężka. Ale odpocząłem. Wstaję i znowu idę. I znowu po kilkunastu czy kilkudziesięciu metrach widzę te pociski lecące przede mną. Jeden widzę za mną już. Znowu udałem, że mnie trafił, się przewróciłem. Poleżałem, odpocząłem i zacząłem maszerować dalej. Ale już nie strzelał, bo z tego kierunku, z którego

strzelał, było niewielkie wzniesienie, nie wiem, 2–3 metry może było takie wzniesienie gruntu, terenu. Idę dalej spokojnie. I widzę, że przede mną, tam kawałeczek w bok, jest grupa żołnierzy. To poszedłem do nich i patrzę, że między nimi jest porucznik „Góra” – „Dolina”. On tam na północy stracił konia i przyszedł już na piechotę. Ale pierwsza moja myśl to była, że jeżeli tutaj jest porucznik „Góra” – „Dolina”, to ja na pewno wyjdę żywy z tej bitwy. Wychodziliśmy potem razem, idąc w kierunku zachodnim. Było nas tam, nie wiem, 25–30. „Dolina” szedł zmęczony i psychicznie widziałem, że był zmęczony, i fizycznie był zmęczony, ale szedł. W pewnym momencie jeden z kolegów przewrócił się, po prostu do przodu się przewrócił. Zdziwiony, że nie potknął się i się przewrócił. Idziemy dalej i on widzi, że mu tutaj z rękawa leci krew. Okazuje się, że samochody pancerne niemieckie dwa z tyłu były jakieś, nie wiem, może 800 metrów, może 700, 900, strzelały w naszą stronę. I któryś pocisk musiał go trafić tu w rękę. Nie trafił w kość na szczęście, tylko w mięsień. Impet kuli go przewrócił. Ale szczęśliwie wyszliśmy. Jeszcze było widno. Doszliśmy do jakiejś miejscowości, nie wiem jaka, ale już ściemniało się. Być może były to Wiskitki, może jakaś inna miejscowość, nie wiem. Przy studni zrobiła się kolejka, żeby się napić wody. Napiliśmy się. Jak się zrobiło ciemno, pada polecenie: „Idziemy na południe, w las”. I po iluś tam metrach trafiamy na tor kolejowy, przechodzimy przez tor kolejowy, idziemy dalej na południe, bez walki, bez niczego, ale byliśmy już z drugiej strony Żyrardowa. Już za Żyrardowem byliśmy. I potem przez parę dni, nie wiem, 2–3 dni, wędrowaliśmy wciąż na południe. Liczba grupy rosła, bo gdzieś skądś zawsze pojawiały się jakieś ilości niewielkie żołnierzy, którym również się udało wymknąć z tego otoczenia, z tego okrążenia. Około 200 było nas, kiedy przekraczaliśmy Pilicę, przekraczaliśmy brodem. Koń mój został tutaj. Gdzieś nawet jak żeśmy się spieszyli, to odprowadzili konie, nawet nie wiedziałem gdzie. Dlatego potem poszedłem na północ, a nie południe, bo nie wiedziałem, gdzie te konie są. Dowódca plutonu potem chyba dostał się do niewoli. I tak... skończyła się epopeja Grupy „Kampinos”. Zginęło około 150, jak podaje literatura. Rannych było około 150. Nie wiem, ponad 150 chyba wzięli do niewoli Niemcy. Potem byli w obozach. Wielu z nich udało się zidentyfikować synowi jednego z naszych partyzantów, panu Bernardowi Gwiaździńskiemu. On się interesował, tym, zaczął szukać dokumentów różnych i znalazł łącznie z numerami obozowymi, które dostali. Jeden z tych kolegów, miałem kontakt z dwoma, którzy trafili do Ameryki, jeden do Stanów Zjednoczonych, drugi trafił do Kanady. Ten do Kanady już nie żyje. A ten, który dostał się do Stanów Zjednoczonych, w Stanach Zjednoczonych było dwóch, jeden zmarł, a jeszcze jeden żyje. Przedwcześniej nawet z nim rozmawiałem telefonicznie, bo często nawiązał, w tej chwili łatwo się nawiązuje łączność, kiedyś był problem. A szczególnie z łącznością międzymiastową, nie mówiąc już o międzynarodowej. Tak to było. Trafiliśmy w kieleckie. Po przejściu Pilicy zatrzymaliśmy się w pierwszej wsi. Kiedy gdzieś parę kilometrów w bok zaczęły się strzały, usłyszeliśmy strzały, porucznik „Góra” zdecydował, że mamy ze wsi wyjść znowu do lasu, żeby, broń Boże, nas tu nie zastali Niemcy, bo zniszczą wieś. I tak wędrowaliśmy od wsi do wsi. Październik. Jesień się zaczyna. Pamiętam te czasy krótko. Ciemno, zimno, mokro i głodno. Walk jakichś nie obserwujemy. Gdzieś w połowie października czy po połowie października dostaję polecenie, że z jeszcze jednym kolegą idziemy, mamy pójść na mielinę. Pójdziecie do Miedzny Murowanej. Trafiliśmy do Miedzny Murowanej. Spotkani mieszkańcy: „Idźcie do sołtysa”. Poszliśmy do sołtysa. Wieczór. „Dobrze, przyjmujemy was na mielinę, ale oddajcie broń”. No to oddaliśmy broń z przykrością wielką. Oddaliśmy broń, amunicję. Skierowali nas do gospodarza. Ten nas od razu zaprowadził do stodoły. Było ciepło. I było sucho. Usunęliśmy. Rano gospodyni przyniosła talerz, głęboki talerz kaszy mannej na mleku. I dwie łyżki. Myśmy ten talerz zupy ledwo, ledwo zjedli we dwóch, mieliśmy tak pokurczone żołądki, bo w końcu już nie było tego zaopatrzenia, jakie miała Grupa „Kampinos”. Byliśmy tam, nie wiem, ile dni. Parę dni tam byliśmy. Czy to było 4, czy 5, czy 8 dni, nie pamiętam. W każdym razie przychodzi pewnego dnia polecenie,

że mamy wrócić do oddziału. Dobrze. Ale broni nam nie oddali. Poszliśmy do oddziału. Oddział wciąż wędrował z miejsca na miejsce, z miejsca na miejsce. My bez broni trzymaliśmy się, tam były chyba ze 3–4 wozy taborowe, koło tych wozów taborowych. W dniu 5, chyba 5 listopada był bój. Koło... Koło Gajówki. Chyba to była, coś takiego było. Przez cały dzień trwała walka. Myśmy byli przy tych wozach, siedzieliśmy we dwóch i jeszcze ci, którzy tam obsługiwali te wozy, ale trwała walka. Zginęło, nie wiem, ilu zginęło, dokładnie nie wiem. Ale paru zginęło. Zrobiło się ciemno. Walka ustała. Co mamy zrobić? Niemcy otaczają nas ze wszystkich stron. Tu widać, że są już zdecydowani koniecznie rozbić oddział. Mamy się wycofać na południe. Gajówka Huta to była, tak. Wozy jak jadą, to stukają czasem te koła tak na osi się tego, żeby nie stuknęły, obwiązano szmatami, obwiązali. Było to jakieś tam tego. My obok tych, tego i reszta żołnierzy. Idziemy na południe. Nad samym ranem doszliśmy do miejscowości... Boków. Do Bokowa. Więc kto może, to idzie spać, bo tu zostajemy. Nie bardzo mi się chciało spać, bo przy tych wozach tam żeśmy się trochę zdrzemnęli z kolegą. Poszedłem za stodołę, żeby powalczyć ze zmotoryzowanym łupieżem. Bo już słońce wschodzi. Tam jest cieplej trochę za stodołą. Ale pewnym momencie patrzę pod las, a równolegle do wsi idzie kolumnienka żołnierzy. 12–15, jednakowo ubrani. Pewnie Niemcy. Więc zza stodoły pobiegłem do chałupy. Podoficer miał lornetkę. Mówię do niego: „Zobacz tam, to prawdopodobnie Niemcy”. On wyszedł z lornetką, popatrzył: „A tak, rzeczywiście Niemcy”. Więc ja pobiegłem na drogę wsi, żeby krzyknąć, że pod lasem Niemcy. I wróciłem z powrotem. W międzyczasie padło kilkanaście czy kilkadziesiąt strzałów. Pojedynczych, takie puk, puk, puk, puk. I widzę, że ci Niemcy szli już do wsi, pod kątem prostym skręcili i tak jak gęsiego jeden za drugim szli, tak teraz leżą nieżywi. Podobno ostatni uciekł. Ale nie wiem, nie jestem pewien. To biegnę. Do pierwszego, do którego podbiegłem, przede wszystkim złapałem karabin, pas z amunicją i taką płachtę namiotową. Niemcy mieli takie indywidualne płachty, jak było ich 2–3, to łączyli je razem, robili namiocik. Karabin miał złamaną kolbę. Być może ktoś walnął swoim karabinem tego Niemca i zabił go, bo Niemiec nieżywy. Ale wziąłem, lepszy ze złamaną kolbą niż nic. Ja go potem zmieniłem, na wozie tam wieźli. Ktoś tam wiozł karabin cały, zabrałem cały, zostawiłem ten. Wróciliśmy do wsi. I pada rozkaz, że cofnąć się do lasu po drugiej stronie wsi, jakieś 100, 150 metrów, może 200 od wsi znowu był las. Na brzegu lasu znowu żeśmy się tak rozłożyli, leżymy, czekamy, co dalej. W pewnym momencie zaczyna się ostrzał tego lasu, gdzie my leżymy. Ja się położyłem, taki większy kamień, jak to rolnicy na brzeg lasu wyrzucają kamienie, znalazłem taki większy trochę, to się położyłem za tym większym i spokojnie leżę. Nie wiem, po minucie może ostrzał się skończył. Więc ja się oglądam, a kolega, który leżał jakieś ze 2 metry z tyłu i ze 3 w bok, ma tu obciętą rękę. Więc z drugim, który leżał z drugiej strony koło niego, żeśmy zawiązali mu tu rękę, żeby się nie wykrwawił. Wzięliśmy go. Ja wziąłem tę rękę jego z tej strony. Ten kolega z drugiej strony go wziął, tak rękę jego założył sobie na szyję i prowadzimy go. Poprowadziliśmy go, nie wiem, ze 200 metrów może, może 150, do wozu. Był wóz taki konny. Położyliśmy go na wozie. I wróciliśmy z powrotem do lasu. We wczesnych latach 90. albo w ostatnich 80. przeglądając dokumentację środowiska Grupa „Kampinos”, trafiłem na notatkę, która mówiła, że został on opatrzony i zostawiony na mielinie jakiejś. A więc żył. I po kilku dniach przyszli Niemcy, zabrali go, rozstrzelali gdzieś, zabili, pochowali w nieznanym miejscu. Szukano tego miejsca, nie znaleziono. Miałem kontakt z rodziną, która szukała go. Powiedziałem im, co znalazłem. Tak się jego życie skończyło. Ciekawy przypadek miałem potem w tym lesie. Bo cofaliśmy się przez las po trochu. Zarządzono postój na chwilę. Ukląkłem tak na kolanach, usiadłem na piętach, tu się zrobiła taka kotlinka i w pewnym momencie wpadł tutaj wielki zajac, prosto do kotlinki. Nieprawdopodobne. Wziąłem go za uszy, trzymam na wszelki wypadek, ale on spokojnie, leży sobie tutaj w tej kotlinki taki wielki zajac. Myślę sobie tak: „Mogę go tak trzasnąć za uszy, zabić. Zjemy, nie zjemy. I tak się nie najemy. Nas jest dużo, a on jest jeden, taki mały. My uciekamy,

on ucieka...". Puściłem go. Ale sam fakt, że tak tutaj schował się. Potem jeszcze chodziliśmy parę nocy. Jakies tam były przy przechodzeniu przez jakieś tory, przez jakąś rzeczkę, przez jakąś drogę, jakaś strzelanina była. Szczęśliwie przeszliśmy. Już po wojnie dowiedziałem się, że dołączyliśmy do 25. Pułku Piechoty Ziemi Piotrkowsko-Opoczyńskiej Armii Krajowej. Żeśmy tam stworzyli batalion piechoty i kompanię piechoty, i szwadron kawalerii. Ale było coraz gorzej, coraz trudniej się utrzymać w terenie, coraz trudniej nakarmić żołnierzy. 11 listopada padł, nie wiem, czy to był dokładnie 11, 12, nie wiem, gdzieś koło tego zapadła decyzja, że rozwiązują pułk piechoty Armii Krajowej, i piechota ta nasza kampinoska, która przyszła, też zostanie skierowana na meliny. Kawalerię zostawił sobie „Dolina”. Było ich tam około 70, natomiast piechotę puścili na melinę. Więc ja jako piechota, bo mój koń został koło Jaktorowa, jeszcze z 2 kolegami zostaliśmy skierowani, tym razem trafiliśmy na małą kolonię Miedzny Bankowej, która była około pół kilometra od tej Miedzny Murowanej, w której byliśmy za pierwszym razem. Tam były cztery gospodarstwa obok siebie i jeszcze chyba raz, dwa, trzy, trochę dalej były. Nas było 3, więc w tych 4 myśmy się tam schronili. To była połowa listopada. Gdzieś po około 2 tygodniach przyszedł ktoś ze wsi do nas i mówi: „Dacie nam po 2 górale...”, które dostaliśmy, odchodząc z oddziału na melinę, – każdy dostał, a „górale” to było 500 zł, „góral” – „...to załatwimy wam kenkarty”. Tam byli, w jednym gospodarstwie nawet była kobieta, która pochodziła z Warszawy, i tam ją Niemcy skierowali tutaj, ludzi z Warszawy wysiedlanych w teren. To mówię: „Damy po te 2 górale”, bo co, przecież z tymi góralami nic nie zrobię. Daliśmy po 2 górale, zaprowadzili nas do odległego, nie wiem, tam 3 czy 4 km, do Żarnowa do fotografa, żeby zrobić nam zdjęcia. Bardzo istotna rzecz. Zrobili zdjęcia, przyszliśmy z powrotem. „Jak będą kenkarty, to was zawiadomimy i będzie wszystko tego”. Spokojnie czekamy. Około 2 tygodni to było. Któregoś dnia przychodzą do nas lekko po południu i mówią: „Idźcie jutro do sołtysa, dostaniecie kenkarty”. Uciecha, bo będziemy bezpieczniejsi, jakby nie było. Ale musimy do jutra poczekać. A przed wieczorem przychodzi kompania wojska niemieckiego, znaczy znowu jakieś tam rosyjskie wojska pod komendą niemiecką, żeby nas aresztować. Tych dwóch kolegów znaleźli od razu. Mnie się udało schować do takiej niewielkiej jakiejś klatki pod takim daszkiem. I siedzę, spokojnie czekam. Chodzą, szukają. Mija 10 minut, 20, trochę dłużej. Oni już zdenerwowani. W końcu dwóch tych żołnierzy spotyka się tak niedaleko, koło tej klatki. Jeden do drugiego mówi: „A gdzie jest ten, co mówi dobrze po polsku?”. Oni po rosyjsku rozmawiają, to ja wszystko rozumiem. „A gdzie ten, co dobrze mówi po polsku?” Bo ja byłem urodzony w kieleckim, wychowany w lubelskim. Nie miałem tego zaśpiewu wileńskiego. Tym się różniłem. Ale jak usłyszałem to, to myślę: „Skąd oni mogą to wiedzieć?”. Musiał ktoś miejscowy donieść. I dlatego przyszli nas aresztować. I nie dostaliśmy kenkart. Aresztowali nas. Ten, który mnie znalazł, to już się zrobiło ciemnawo, to zapalił zapalkę i zajrzał do tej klatki: „wylezaj” [ros. wyłaż]. To wyszedłem. Zawieźli nas najpierw do Paradyża, miejscowość tam parę kilometrów od Miedzny Bankowej. Spaliśmy na klatce schodowej, zima, mróz, bo to już jest listopad, mróz, zima. Wybite okna na klatce schodowej, a my na pierwszym piętrze tam żeśmy spali. W dzień kazali nam rąbać drzewo, więc było lepiej, bo przynajmniej człowiek się ruszał i było cieplej. Dziewczyna z tego domu, w którym ja byłem na melinie, przyniosła nam taką derkę byle jaką, ale zawsze coś było, było nam trochę cieplej. Po 3 dniach wsadzili nas na samochód, zawieźli do Opoczna, do gestapo. Gestapo wsadziło nas do piwnicy, do więzienia. W piwnicy..., piwnica, nie wiem, 00:54:53,800 --> 00:54:55,800 czy miała ze 3 metry szerokości, nie wiem. Głębokości też nie wiem, czy miała 3 metry. Taka sklepiona była. W drzwiach było takie małe okienko na korytarzyk, a tam przez okienko jeszcze było widać niebo, ale tylko. Jak nas tam wprowadzili, to okazało się, że nas jest 15. Ci, którzy już tam siedzieli, to mieli, jak się kładli wieczorem na pryczy, to tak jeden obok drugiego się układali, zajmowali całą pryczę. Dla tych 3 nie ma miejsca, już nie mają gdzie. To myśmy pod pryczą na takiej uklepanej, na klepisku

żeśmy spali. Rano była taka cienka jakaś kawa. W południe była taka cienka woda, była zupa, a i kawałek chleba jeszcze był rano, wieczorem już nie było. Śmieszny przypadek, bo w takim gronie zawsze znajdzie się palacz, i to nie jeden. Ten, który wynosił paraszę takich... kubek z sikami. Codziennie inny. Jak wynosił na podwórze, to miał obowiązek pozbierać wszystkie pety, które leżały po drodze, to zbierał. I palacze sobie tam robili jakieś skręty. Kiedyś do jednego z tych miejscowych aresztantów przysłała paczka od rodziny. Paczka zawinięta było jak, ale w paczce czapka z nausznikami, taka zimowa czapka z nausznikami. Wata czy wełna, która była tam wewnątrz, była zastąpiona tytoniem. Cała ta czapka to był tytoń. Tak ucieszyli się, palili. Ja się cieszyłem, że ja nie umiem palić. Tak.